Nr. 5. Kraków, maj 1907. Rok VIII.



:: PISMO DLA KOBIET ::

wychodzi w połowie każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi:

rocznie . . kor. 1·50 | zagranicą . marek 1·50
półrocznie . „ 0·80 | pojedynczy numer 15 gr.

ADRES REDAKCYI: SZPITALNA 7, II P.

„Matko Niebieskiego Pana Świętaś i Niepokalana.“

Niedobrze dzieje się na Polskiej ziemi — nie ma zgody, jedności, które tworzą cuda — niezgoda, waśnie; krew bratnia się leje. O co? czyż na Polskiej ziemi już miejsca dla jej synów zabrakło? I w imię czego i komu na chwałę i korzyść, jeżeli nie wrogom naszym odwiecznym, którzy umyślnie pomiędzy nami zawiść i niezgodę szerzą, by tem łatwiej mogli nas zniszczyć i pochłonąć. Jak żal, że sto lat kajdan i niewoli nauczyło nas tylko nienawidzieć, mordować i plwać na to, co święte.

I nie mamy, ktoby nam powiedział: źle czynicie, biada wam. Króle nasi śpią cicho w grobach, a proroków Bóg nie zsyła. Ale jest miesiąc w roku, kiedy na Polskim tronie zasiada Polska królowa. A tron ten wspaniały i bogaty, choć nie ze złota i drogich kamieni, ale z serc polskich. A na czas tego królowania cała Polska, jak długa i szeroka zdobi się i przystraja zielenią i kwieciem majowem. I cała Polska składa wówczas hołd Matce Boskiej, a Polskiej królowej.

Po miastach kościoły pełne; nie mogą pomieścić wszystkich poddanych Maryi, którzy bez różnicy, wielcy i mali, bogaci i ubodzy spieszą do jej stóp.

A na wsi... Roboty dzienne pokończone. Zmierzch. Pod figurą Boskiej Matki, a Polskiej królowej zbierają się jej wiejscy poddani. Choć spracowani, zmęczeni i senni nie opuszczą ani jednego wieczoru. I śpiewają pieśni prastare, jeszcze za Polskich królów na Polskiej ziemi śpiewane:

„Odwróć od nas głód, mór ciężki
Zachowaj krwawej wojny
Użycz zdrowia i żyznych lat,
Racz nam dać wiek spokojny“.

I płynie pieśń... Wieczór ciepły i cichy. Na niebie miliony gwiazd. Czuć zapach wiosny, ten czarowny zapach młodych liści, rozwijających się bzów, młodej trawy i ziemi — cudny upajający zapach. — Słowik gdzieś w gęstwinie wtóruje pieśni. I płynie pieśń... A pieśni tej potęga nie w uczonej nucie, nie w pięknych głosach, ale w tem, że płynie ona z całej Polski, jak długa i szeroka, z każdego najmniejszego zakątka, gdzie tylko

serca polskie biją. I płynie ta potężna pieśń milionów, pieśń czci, hołdu i miłości aż pod tron Królowej, aż do Nieba!... Tak naród polski czci swoją Królową, a wielki to naród, który tak czcić umie.

To też strzeżmy się wszystkiego, coby w tym wspaniałym i ogólnym hołdzie mogło być rozdźwiękiem. A takim rozdźwiękiem są nasze niezgody i waśnie. Do słów śpiewanych pieśni zastosujmy czyny nasze, a pamiętając, że Królowa nasza jest miłością i przebaczeniem, strzeżmy się nienawiści, miłujmy się i przebaczajmy sobie nawzajem. Będzie to hołdem najmilszym.

»Matko niebieskiego Pana
Świętaś i Niepokalana«.

J. B.

PASTUSZEK.

(z obrazu Proszkowskiego „Sielanka").

Wyłamałem fujareczkę
Oj du, du, du, du,
Zczarowałem na piosneczkę,
Oj du, du, du, du.

Ulinitem z wierzby siwej,
By mi grała niby dziwy,
By mi grała maj.
Wykręciłem ponad wodą,
Gdy się dzionek śmiał urodą,
Pieśnią szumiał gaj.

W czas majowy, w ranek wiosny,
Kiedy hejnał brzmiał radosny,
Ze snu budził świat.
Ponad jasne, ponad zdroje,
Gdzie owieczki skubią moje
Nad przełęczą kwiat.

Rwałem ją u srebrnej fali,
Gdzie się wietrzyk tęsknie żali,
Gdzie się żali wiatr.
By mi grała żałośliwie,
O tej ziemi, o tej niwie,
Gdzie cmentarzy piach.

O tem kwieciu, o mogile,
Co się wierzba nad nią chyli,
O sierocych łzach.

Ad. B.

POLSKA I JEJ GRANICE.

(Ciąg dalszy).

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności pod władzą Kazimierza Sprawiedliwego znalazła się znaczna część Polski; dzierżył on bowiem całą Małopolskę, miał władzę nad Pomorzem, ziemią halicką i włodzimierską, a wskutek śmierci Leszka, syna Bolesława Kędzierzawego, posiadł w r. 1185, w myśl testamentu Bolesława, Mazowsze z Kujawami. To szczęśliwe zjednoczenie dzielnic polskich poszło znów w niwecz po zgonie Kazimierza.

Kazimierz pozostawił dwóch synów: urodzonego w r. 1188 Leszka, od jasnych, barwy lnu włosów, zwanego Białym, księcia sandomierskiego, oraz młodszego odeń o lat trzy Konrada, księcia na Mazowszu i Kujawach.

Chociaż Leszek Biały, w chwili zgonu ojca, liczył dopiero lat sześć, zjazd narodowy, zebrany w Krakowie, stosownie do uchwał powziętych r. 1180 w Łęczycy, któremi panowanie nad Polską przyznano potomkom Kazimierza Sprawiedliwego, uznał Leszka za zwierzchniego władcę Polski, postanawiając, że władzę w jego imieniu sprawować będzie wdowa po Kazimierzu, księżna Helena, przy pomocy biskupa krakowskiego Pełki, oraz wojewody Mikołaja. Postanowienie to nie podobało się Mieczysławowi Staremu, który wbrew woli narodu, objawionej w uchwałach łęczyckich, domagał się panowania dla siebie i swoich potomków i tyle dokazał, iż w r. 1204 Leszek ustąpił zwierzchniczej władzy nad Polską synowi jego Władysławowi III-mu, od długich i cienkich nóg zwanego Laskonogim.

Panowanie Laskonogiego zaledwo 3 lata trwało, gdyż już w roku 1207 Krakowianie, niezadowoleni z jego rządów, zawezwali napowrót na tron Leszka Białego.

W czasie dwukrotnego panowania Leszka Białego i niedługich rządów Władysława Laskonogiego, zaszły w Polsce dwa wydarzenia, doniosłe w swoich skutkach na przyszłość.

W roku 1205 książę Roman, władający Haliczem z ramienia Polski, zapragnął samodzielności i wystąpił zaczepnie przeciw Polsce, wpadając w sandomierskie i niszcząc je ogniem i mieczem. Wyprawiony przeciw niemu

wojewoda płocki Krystyn, wódz znamienity, rozbił na czele polskich zastępów w puch wojsko Romana pod Zawichostem d. 19. czerwca 1205 r. W pogromie poległ Roman, a ziemia halicka przeszła w bezpośrednie władanie Polski. Haliczanie byli z tego bardzo zadowoleni, nienawidzili bowiem Romana dla jego surowości i okrucieństwa, a innych książąt normandzkich, panujących w dalszych ziemiach ruskich, ogromnie się obawiali z powodu ich despotyzmu i okrutnego usposobienia. Należało z tego korzystać i ziemię halicką z innemi dzielnicami Polski napowrót złączyć, tak, jak była złączona za Mieczysława I. i Bolesława Chrobrego. Niestety, Leszek powziął nadzwyczaj nieszczęśliwą myśl wydania córki swojej Salomei za królewicza węgierskiego Kolomana, dając jej jako wiano ziemię halicką. Spadły stąd na Halicz i na Polskę klęski i niepowodzenia. Węgrzy gospodarowali w Haliczu, jakby w kraju podbitym, a gdy w r. 1214 Koloman ze Salomeą ukoronowali się w Haliczu z wielką uroczystością i Koloman przybrał tytuł króla halickiego; Mścisław, książę kijowski, podburzywszy przeciwko Polsce Jadźwingów i Litwinów, napadł na ziemię halicką. Wprawdzie Sulisław, kasztelan sandomierski, pobił Jadźwingów i Litwinów w r. 1215 i wodzów ich wziął do niewoli; Mścisław jednak owładnął ziemią halicką i Kolomana z Salomeą wziął w jasyr, z którego przy pomocy Polski nierychło zdołali się wydobyć. Ziemia halicka na dłuższy czas przeszła pod rządy najezdniczych książąt ruskich, a właściwie normandzkich, królowie węgierscy zaś zaczęli sobie od czasu koronacyi Kolomana rościć do Halicza najzupełniej nieuzasadnione prawa.

Jeszcze nieszczęśliwszem w skutkach było drugie wydarzenie z owego czasu: sprowadzenie Krzyżaków do Polski.

Mazowsze, w którem władał brat Leszka Białego, Konrad, graniczyło, jak już wiemy, z krajem zamieszkałym przez Prusaków, nadzwyczaj wojownicze plemię, pokrewne Litwinom. Prusacy, nawracani wielokrotnie na wiarę chrześcijańską, wciąż powracali do bałwochwalstwa i występowali wrogo przeciw Polsce, najeżdżając Mazowsze i niszcząc je ogniem i mieczem. W pierwszych latach XIII. wieku, pomiędzy rokiem 1200 a 1217, Prusacy zachowywali się cicho wskutek pogromów, jakich doznali od wojewody płockiego Krystyna, zwycięzcy z pod Zawichostu. Gdy jednak Konrad, człowiek gwałtownego usposobienia, podjudzony przez osobistego nieprzyjaciela wojewody, a swego ulubieńca, prałata płockiego Jana Czaplę, kazał Krystyna zabić, ośmieleni śmiercią swojego pogromcy Prusacy napadli w r. 1217 Mazowsze i strasznie je spustoszyli, samych kościołów 250 obracając w perzynę. Nie dosyć tego, Prusacy, widząc, iż Konrad nie umie im stawić skutecznego oporu, wybrali sobie Mazowsze za stały cel swoich łupieskich wycieczek. Wówczas Chrystyan, cysters klasztoru w Oliwie, pod Gdańskiem, który za gorliwość w nawracaniu Prusaków, został w r. 1215 pierwszym biskupem pruskim, doradził Konradowi, ażeby dla obrony granic Mazowsza przeciw Prusakom, a równocześnie w celu ich nawracania na wiarę chrześcijańską, utworzył zakon rycerski, na wzór takich zakonów, powstałych w czasie wojen krzyżowych.

Trzeba bowiem wiedzieć, że w ostatnich latach XI. wieku powstała myśl w krajach zachodniej Europy, a przed innemi we Francyi, oswobodzenia Palestyny, czyli tak zwanej Ziemi Świętej, w której Chrystus Pan narodził się, nauczał i umarł na krzyżu, z rąk niewiernych muzułmanów, zwanych wówczas Saracenami, którzy ją zdobyli i w niewoli trzymali. Narodom zachodniej Europy, a szczególniej Francuzom, dzięki naukom i opowiadaniom pielgrzyma Piotra z Amiens (Amię), który zwiedził z wielkiemi trudnościami i narażeniem życia uciśnioną przez Saracenów Palestynę, wydawało się rzeczą nieznośną i grzeszną pozostawienie ziemi, uświęconej urodzeniem, życiem i działaniem Zbawiciela w rękach niewiernych. Narody te zapragnęły swobodnego przystępu do Betleem i do grobu Chrystusa Pana. Pragnienie to ogarnęło zarówno lud, jak rycerstwo i panujących. Powstały wskutek tego wojny przeciw Saracenom, jednoczące wszystkich walczących przeciwko nim pod godłem Krzyża i zwane dlatego wojnami krzyżowemi. Wojny te trwały od 1096 do połowy blisko XIII. wieku. Brali w nich udział głównie Francuzi, obok nich Hiszpanie, Anglicy, Włosi i Niemcy.

Z Polski, która u swych granic północno-wschodnich miała nieustającą walkę z poganami, walkę godną ze wszech miar nazwy ciągłej wojny krzyżowej, niewielu rycerzy brało udział w tych wojnach, jedynie w r. 1152 waleczny książę sandomierski Henryk, najmłodszy syn Bolesława Krzywoustego, na czele liczniejszego zastępu, odbył wyprawę do Ziemi Świętej, z której powróciwszy szczęśliwie,

w 12 lat później poległ, jak wiemy, bohaterską śmiercią w boju przeciw Prusakom.

W czasie wojen krzyżowych, powstało kilka zakonów rycerskich, składających się z tak zwanych „Braci,“ którzy mając niższe święcenia kapłańskie i ślubując czystość, oraz ubóstwo, byli równocześnie rycerzami, obowiązanymi do obrony pielgrzymów dążących do Jerozolimy, do pielęgnowania ranionych i chorych pielgrzymów i rycerzy walczących z Saracenami, jakoteż do walczenia z tymi ostatnimi i wogóle z poganami, w celu obrony chrześcijaństwa, a równocześnie nawracania pogan na wiarę Chrystusową.

Otóż wspomniany wyżej Chrystyan, pierwszy biskup pruski, namówił Konrada, ażeby na wzór tych zakonów krzyżowych, utworzył zakon rycerski na Mazowszu, z Polaków złożony i mający wyłączny cel obrony chrześcijaństwa polskiego, a nawracania Prusaków. Pomysł zdawał się dobrym, okazało się jednak wkrótce, że Konrad nie miał dostatecznych środków do utrzymania i utrwalenia takiego zakonu.

W r. 1218 Konrad założył taki zakon pod nazwą „Braci Dobrzyńskich“ i nadał mu dobra Cedelice z zamkiem Dobrzynem, od którego zakon nazwano. Zakon ten składał się z 14-u Braci, oraz zbrojnych ochotników, zorganizowanych przez Braci i przez nich prowadzonych do boju. Z początku powodziło się Braciom Dobrzyńskim bardzo dobrze, walczyli zwycięsko z Prusakami i ochraniali skutecznie Mazowsze. Wkrótce jednak, wśród ciągłych bojów, dziesięciu z nich z większą częścią ochotników poległo, a pozostałych czterech z niedobitkami zamknęło się w zamku dobrzyńskim, broniąc się przeciw rozjuszonym Prusakom.

Wówczas Chrystyan podsunął Konradowi nieszczęśliwą, opłakaną myśl sprowadzenia do Polski jednego z krzyżowych zakonów rycerskich, a w szczególności niemieckich „Braci szpitalnych“, zwanych pospolicie „Krzyżakami, z powodu wielkich czarnych krzyżów, które nosili na swoich białych płaszczach. Krzyżacy, wyparci z Ziemi Św. mieszkali naówczas w Italii, szukając dla siebie jakiego zajęcia.

Istniały w tym czasie cztery rycerskie zakony: trzy powstałe na wschodzie podczas wojen krzyżowych, a to Templaryusze, Joannici, oraz Bracia szpitalni czyli Krzyżacy. Czwarty zakon powstał w Inflantach pod nazwą Rycerzy mieczowych, za staraniem arcybiskupa ryskiego, ku obronie zaczątków miejscowego chrześcijaństwa od Łotyszów, Estów i Kuronów, plemion pokrewnych Prusakom.

Każdy z tych zakonów miał swoją regułę i strój odrębny, zatwierdzony przez papieża, jakoteż również zatwierdzoną odrębną organizacyę. Na czele każdego zakonu stał „Wielki Mistrz,“ mający do rady i pomocy kapitułę, złożoną z dostojników zakonu. Mistrza obierała kapituła, a urząd jego był dożywotnim.

W owym czasie takim Mistrzem Krzyżaków był Herman Salza (Zalca), czwarty z rzędu od czasu powstania zakonu, a pod którego zręcznem kierownictwem Krzyżacy wzrośli w zamożność i niemałej używali sławy. Na razie jednak, jak już zaznaczyliśmy wyżej, wobec kończących się wojen krzyżowych, nic nie mieli do czynienia i zagrażał im rychły upadek, wskutek braku celu, któremuby służyć mieli. Bardzo więc ucieszył się pan Herman Salza, gdy przybyli do niego wysłańcy Konrada, ofiarując Krzyżakom w lenno, t. j. w zależne od księcia mazowieckiego posiadanie ziemi Chełmińskiej, w zamian za obronę granic Mazowsza i nawracanie Prusaków na chrześcijańską wiarę. Teraz otwierały się przed zakonem widoki świetnej przyszłości i utrwalenia bytu. Przecież ostrożny i podejrzliwy Niemiec nie przyjął odrazu korzystnych propozycyi, lecz wysłał wprzód dwóch braci zakonnych z 18 zbrojnymi ludźmi do Polski, na Mazowsze, by zbadać miejscowe stosunki. Badania wypadły pomyślnie. Bracia zakonni przybywszy do Konrada w r. 1222, wzięli udział w walce z Prusakami i stając przeciw nim mężnie, ciężkie odnieśli rany. Po wyzdrowieniu zawarli z Konradem ugodę co do ziemi chełmińskiej, położonej na północ od Dobrzyna nad Wisłą i osiedli w zbudowanym nad rzeką tą zamku. W cztery lata później przysłał Wielki Mistrz znaczniejszy poczet zbrojnych pod wodzą Hermana Balka, mianowanego pierwszym prowincyonalnym mistrzem pruskim. Odtąd zączęli Krzyżacy z jednej strony „nawracać“ Prusaków na niemiecki sposób, to jest podbijać ich i wytępiać, z drugiej wystraszać na Konradzie coraz większe nadania i zapisy, dzięki którym wnet urośli na groźną Polsce potęgę, która jak hydra stugłowa, pomimo zdeptania jej na polach Płowiec i Grunwaldu, nie przestała nam szkodzić, aż przerodzona w państwo niemiecko-pruskie, stała się głównym powodem upadku Rzeczypospolitej polskiej i do tej chwili jest najzawziętszym wrogiem i największem nieszczęściem narodu polskiego!

Panowanie Leszka Białego zakończyło się nader smutno, powodem zaś tego był znów podział Polski na dzielnice i wynikające z niego nieporozumienia pomiędzy książętami polskimi. Po śmierci Mieczysława Starego, zaszłej w r. 1201, odzierżył władzę nad Wielkopolską młodszy syn Mieczysława, znany nam już Władysław Laskonogi, a to z tego powodu, że starszy brat jego Otton umarł pierwej niż ojciec, bo w roku 1195. Władysław Laskonogi był bezdzietnym, przejście więc Wielkopolski w ręce syna Ottonowego Władysława, zwanego Plwaczem dla niemiłego zwyczaju plucia podczas mówienia, nie ulegało wątpliwości; Władysław Plwacz jednak nie miał ochoty czekania na śmierć stryja i rad był władzę nad tą dzielnicą posiąść bezzwłocznie. W tym celu ożenił się z córką wielkorządcy księstwa pomorskiego Świętopełka, który dążył do oderwania się od Polski i pozyskania niezawisłości. Plwacz spodziewał się, że przy pomocy Świętopełka, potrafi odebrać Wielkopolskę Laskonogiemu. Jakoż wsparty przez Pomorzan, opanował część tej dzielnicy, a Świętopełk przy tej sposobności zagarnął dla siebie polskie miasto Nakło, położone nad rzeką Notecią.

Leszek Biały, nie chcąc dopuścić do bratobójczych bojów, a zarazem pragnąc Polskę od strat ochronić, zaprosił książąt polskich na zjazd do Gąsawy, miasta położonego w Wielkopolsce, o czterdzieści kilka kilometrów na południe od Nakła. Celem zjazdu było załagodzenie sporów pomiędzy Laskonogim i Plwaczem, oraz skłonienie Świętopełka do uległości Polsce.

Na zjazd, prócz zwołującego go Leszka Białego, przybyli: Henryk Brodaty, książę wrocławski, Konrad mazowiecki, Laskonogi, a nawet i Plwacz, Świętopełek jeno zwłóczył przybycie pod rozmaitymi pozorami. Wobec tego, po załagodzeniu sporu pomiędzy obydwoma wielkopolskimi Władysławami, Laskonogim i Plwaczem, postanowiono wyprawę na Nakło, w celu odebrania go Świętopełkowi. Dowiedziawszy się o tem zdradliwy Pomorzanin, nie czekając wyprawy, napadł znienacka na Gąsawę, d. 14 listopada 1227 r. i rozgromiwszy niespodzianie straże, wdarł się do miasta, grożąc śmiercią Leszkowi. Ten znajdując się w chwili napadu w łaźni, wdział naprędce ubranie, a nie widząc możności obrony, dopadł konia i uszedł za miasto; dopędzony jednak przez Świętopełka i żołdaków jego pod wsią Marcinkowem, poległ po mężnej i zaciętej obronie. *Inż. E. Śmiałowski.*

NIE SPRZEDAM CI ZIEMI.

Przyszli cudzoziemcy, ludzie innej wiary:
— Sprzedaj, chłopie, rolę, będziesz miał talary.
Zapłacimy chatę, zapłacimy pole,
Będziesz miał talarów na calutkim stole.
— A, mój panie miły! idźże, gdzie chcesz sobie,
A ja swojej roli za nic nie dam tobie!
Schowaj swe dukaty i białe talary,
Kto sprzedaje ziemię, ten nie naszej wiary.
Chcesz kupić odemnie i rolę i płoty?
A kto mi zapłaci ten miesiączek złoty?
A kto mi zapłaci za tę jasność Bożą,
Co w moje okienko idzie z każdą zorzą?
Za ten dach słomiany, co mi głowy strzeże?
Za ten dzwon, co dzwoni rankiem na pacierze?
A kto mi zapłaci za tę modrą wodę,
Za ciepło słoneczne, za cichą pogodę?
Za wiosenny klekot naszego bociana?
Za piosnkę pastuszków „oj dana, oj dana“?
Za ten piasek biały, gdzie się bawią dzieci?
Za tego skowronka, co nad głową leci?
A kto mi zapłaci za tę słodycz miodu,
Co ją pszczoły znoszą do ula z ogrodu?
Za palmę, co pęka w kwietniową niedzielę?
Za tę gruszę polną, co długi cień ściele?
A kto mi zapłaci za kościołek Boski,
W którym co niedzieli Bogu składam troski?
Za cmentarz przy farze, zielony, jak sady,
Gdzie leżą w swych grobach ojcowie i dziady?
A tóćto i mnie tam miejsca wnet potrzeba,
Gdy Pan Bóg zawoła: „Chodź, człeku, do nieba!“
A tóćby mi dzieci po nocach tęskniły,
Nie wiedząc, gdzie szukać ojcowej mogiły.
Nie sprzedam ci roli! Weź, kupcze, talary!
Kto ziemię sprzedaje, nie naszej jest wiary“.

M. Konopnicka.



PAMIĘCI NARODU.

„Gdy żadnej nagrody, jakkolwiek biedna i pieniędzy przyjąć nie chciała, polecam ją pamięci narodu.“

(*Tadeusz Kościuszko*).

Te słowa własną ręką napisał Kościuszko, dając świadectwo ubogiej kobiecie, iż jako umiała, tak służyła Ojczyźnie.

Była to uboga przekupka w Warszawie. Roznosiła w koszyku jaja, obwarzanki, ser, chleb i sprzedawała.

A kiedy Warszawę oblegli Moskale i Prusacy — Magdalena, uboga przekupka, przyszła do Kościuszki i powiada:

— Jeśli wam, wielki naczelniku, trzeba wiedzieć, co robią i ci i tamci, to zaufajcie mnie, będę donosiła.

— Nie boisz się pomiędzy wrogów wejść?

— Nie boję się, a dojrzę i podsłucham to, czego nikt z was nie usłyszy i nie obaczy, mnie tam, kobiety, nie będą się strzegli.

— Czy rozumiesz, na co się narażasz? Gdy poznają, iż śledzisz, to schwycą i nie puszczą.

Lecz Magdalena odpowiada śmiało:

— A wy, wielki naczelniku, nie boicie się? I was mogą dojrzeć, pochwycić, czy nie czekaliby na to z radością?

— Słusznie mówisz! Jeżeli masz serce odważne i chcesz nam dopomódz — służ, zapłacę ci hojnie.

Skłoniła się nizko Magdalena i poszła, ażeby rozpocząć swą służbę.

Nie domyślił się nikt, iż ta uboga przekupka, roznosząca precle, jaja, ser, przenosi do obozu Kościuszki bardzo ważne wieści.

Nie jeden raz witał ją Kościuszko z uczuciem wdzięczności. Nie jeden raz dziękował jej szczerze.

A kiedy chciał dać jej wynagrodzenie za trud, za usługę — Magdalena rumieniła się, jakoby wstydem i prosiła jakoby o łaskę:

— Wielmożny naczelniku! za precle, jaja i ser płacą mi żołnierze, bo to moja praca na zarobek, ale za służbę dla Ojczyzny nie płaćcie mi, Naczelniku, boć to przecie matka, któż płaci za to dziecku, jeśli matkę kocha?

— Uboga i strapiona krzywdą matka-Ojczyzna może kiedyś ci zapłaci za trud i wytrwałość.

— Nie żądam wynagrodzenia i nie czekam na nie — odrzeknie przekupka, spiesząc dalej do pracy.

Przez cały czas oblężenia Warszawy pracowała wytrwale i wiele dopomagała Kościuszce przez to, iż przynosiła wieści z obozów nieprzyjacielskich.

Kościuszko, wyjeżdżając z pod Warszawy, pożegnał Magdalenę życzliwie i dał jej wtedy własną ręką napisane świadectwo następujące:

— Daję niniejsze świadectwo Magdalenie, która w czasie oblężenia Warszawy oddała wielkie i ważne Ojczyźnie i mnie przysługi. Gdy zaś żadnej nagrody, jakkolwiek biedna, i pieniędzy przyjąć nie chciała, polecam ją p a m i ę c i n a r o d u.

W Warszawie, na cmentarzu powązkowskim, jest pomnik ubogiej Magdaleny, a na nim napis:

Magdalenie, dobrze zasłużonej Ojczyźnie i przez Najwyższego Naczelnika Kościuszkę p o l e c o n e j p a m i ę c i n a r o d u.

* * *

Dlaczego Kościuszko polecił pamięci narodu ubogą kobietę?

Zdaje się, każdy odpowiedź znajdzie na to w sercu własnem. Ci są godni pamięci narodu, którzy narodowi służą, jak mogą, jak umieją, nie licząc swego trudu, ani nie czekając na zapłatę.

Każdy z nas powinien tak żyć, ażeby przez czyny zacne zasłużył na pamięć u narodu. Żyją miliony, a pamięć narodu tylko o tych wspomina, którzy żyli nie dla siebie, ale dla Boga i Ojczyzny.

A ci, którzy sądzą, iż tylko wielcy w nauce, możni na stanowisku, wpisani są w pamięci narodu, niech wspomną o ubogiej Magdalenie, a potem spytają serca swego, czyliby umieli poświęcić się.

— Niech robią inni — powiadają ludzie często, gdy się ich wzywa do pracy.

Tym innym pamięć narodu płaci szacunkiem. *J. S.*

W ZIMOWY WIECZÓR.

Wieczór był nie późny, ale bardzo ciemny; na niebie, usłanem chmurami, nie świeciła ani jedna gwiazda, wiatr posuwiście hasał i śpiewał w głębokiej kotlinie, na której dnie leżał równy, szeroki szlak zamarzłej rzeki. Rzeka, wązkie jej wybrzeża i wysokie ściany kotliny majaczyły w grubych ciemnościach. Z jednej strony, na górze, panowała zupełna pustka, tu i ówdzie tylko przerywana czarnemi liniami drzew, z drugiej strony, wyżej jeszcze, wiejskie domostwa kreśliły na tle ciemności łańcuch czarniejszych niż ona punktów. Połyskiwały też one rzędem drobnych świateł, podobnych do czerwonawych, mrugających oczu.

Z daleka, nizko, nad samym szlakiem rzeki posuwała się postać zupełnie samotnego człowieka.

Człowiek, idący po dnie przepaści, silnym być musiał, bo szybko, niezachwianie, w linii prostej, pruł wirujące słupy wichrów. To, co go otaczało — jakkolwiek czarne, dzikie i bezludne — nie czyniło kroku jego powolnym, ni trwożnym. W zamian coś go z tyłu popychało, gnało, parło coraz dalej, coraz gwałtowniej.

Szedł prędko, równo, w linii niezachwianie prostej, cicho, jak widmo; czasem tylko u stóp jego rozlegało się krótkie, metaliczne stuknięcie kija o wystający z pod śniegu kamień wybrzeża.

Wtem stanął i głowę podniósł ku rozciągniętemu na górze łańcuchowi czarnych punktów, czerwonawemi światełkami mrugających. Na łańcuch ten widocznie patrzył, bo w pogwizdy wichru wmieszał się okrzyk ludzki, zdziwienia pełen, z jednego tylko, lecz przeciągłego dźwięku złożony:

— A!

Zadziwił się. Kilka minut patrzył w górę i raz jeszcze, ale już cichszy i krótszy wykrzyk rzucił pomiędzy dwa nieskończenie długie jęki wichru:

— A!

Potem szedł znów dalej, lecz znacznie powolniej niż przedtem.

Aż wreszcie wszedł na drogę, szerokość jej przebył i rękę położył na wrotach pierwszej z rzędu zagrody wsi. Zanim je otworzył, wytężonym wzrokiem na chatę w głębi podwórka stojącą popatrzył i raz jeszcze przeciągle wymówił:

— A!

Głową zakołysał, jak ktoś głęboko zdziwiony.

Wrota skrzypnęły, drobny cień psa szybko i z głośnem szczekaniem od progu chaty posunął się podwórkiem; z za okna, mrugającego w ciemnościach czerwonawem światłem, słychać było głos gruby, silny, ale świeży, młodzieńczy, prędko, długo, nieprzerwanie o czemś opowiadający...

Była to chata starego Szymona Mikuły, który teraz w obszernej i nizkiej izbie siedział na zydlu, przy ustach trzymając wielką glinianą fajkę, na krótkim cybuchu osadzoną. Miał zapewne lat przeszło sześćdziesiąt, lecz nie wyglądał wcale na jednego z tych ojców rodzin, których synowie okładają razami, lub z pod strzechy, już ich nie potrzebującej, wypędzają. Na tle odymionej ściany, o którą opierał szerokie i trochę tylko przygarbione plecy, w świetle palącej się na stole lampki, postać jego, w białe płótno przyodziana, zarysowywała linie potężne; grube kłęby dymu, które nieustannie z ust wypuszczał, zasłaniały, to odsłaniały głowę wielką, nad czołem wyłysiałą, a z tyłu otoczoną wieńcem siwych włosów, i rysy duże, ściągłe, rumianą cerą powleczone, bujnym, twardym wąsem zjeżone, oświecone dwojgiem oczu błyszczących i mądrych, które z pod gęstych i obwisłych brwi spoglądały ze spokojną energią i ostrą przenikliwością.

Ręce jego, z których jedną zasunął pod przepasującą koszulę czerwoną taśmę, a drugą fajkę przy ustach trzymał, wielkie, silne, żylaste, zdradzały przechowaną wybornie zdolność do pracy i żelazną siłę ujęcia. Łatwo było domyśleć się, że gdy ten starzec wstanie, wyprostuje się i przemówi, wszyscy tu obecni śpiesznie i pilnie spełnią wszystko, cokolwiek im spełnić rozkaże. Obecnych zaś w izbie tej było wielu, a wszyscy w tej chwili siedzieli lub stali nieruchomo, w milczeniu, w postawach takich, w jakich uwagę ich i ciekawość pochwyciło opowiadanie, którego słuchali.

Najstarszy syn Mikuły, bednarz, chłop około czterdziestoletni, rękę z heblem oparł na ławie i ponuro opuścił twarz. Żona jego, równa mu prawie wiekiem, stała przed komi-

nem, na którym palący się ogień od stóp do głowy blaskiem swym oblewał kibić jej wysoką, wyprostowaną, z głową dumnie w tył odrzuconą i skrzyżowanemi u piersi ramiony. Tuż za tą poważną, o pięknych rysach i energicznej postawie gospodynią chaty, w cieniu nieco, za przezroczystem kołem i wysoką prząśnicą kołowrotka, siedziała córka Mikuły, która przed chwilą przędła, ale teraz ponsowe usta rozwarła i zdawała się być zaczarowana w zdumieniu i przerażeniu. Przerażoną też, ale bardziej jeszcze zaciekawioną wydawała się stara, mała, szczupła babula, która przy samej ziemi, na niecce dnem do góry przewróconej siedząc, miała przed sobą sito pełne strąków fasoli.

Ciekawą też i zadziwioną wydawała się młodziutka, jak jutrzenka świeża, jak brzoza wysmukła, żona młodszego syna Mikuły. Na zydlu, w świetle lampki, siedziała ona naprzeciw ponurego bednarza i u piersi, okrytej granatowym kaftanem, kołysała paromiesięczne dziecię. Wielki kosz z łozy, w którym spało inne niemowlę, na grubych sznurach zwisał u odymionej belki sufitu, obok szerokiego tapczana, zasłanego sianem i okrytego suknem. Dwie dziewczęce głowy pochyłały się nad izbą ze szczytu wysokiego i rozłożystego pieca; z za szerokich pleców bednarza wychylało się płowowłose, piętnastoletnie pacholę, z kłębami sznurów na kolanach i z iglicą do wiązania więcierzy w ręku. Dwanaście tych istot ludzkich, różnej płci i różnego wieku, nieruchomą grupą napełniało nizką izbę, w której wiele miejsca zajmowały statki gospodarskie, narzędzia rybackie i rozłożyste krosna tkackie. Pośrodku izby staopowiadający. Był to młodszy z dwóch synów Mikuły, trzydziestoletni, wysoki, zgrabny człowiek. Tylko co snać powrócił z drogi, bo jeszcze nie zdjął kożuszka, od którego czarnego baraniego kołnierza silnie odbijała rudawość jego krótko przystrzyżonej brody i świeża rumianość cery. Złote włosy z rudawym odcieniem, na tył głowy odrzucone, ukazywały czoło bielsze od twarzy, śmiałe i roztropne. Trzymał jeszcze bicz, którym w podróży konie poganiał, i z żywemi gestami ramion i głowy opowiadał:

— Dalibóg, prawdę mówię! Żebym zdechł, jeżeli kłamię! Cały świat był dziś w miasteczku i wszyscy tak o tem gadali, że i targu żadnego nie było. Wszyscy gadają, że to jest Bąk, ten sam, co to dziesięć lat temu ze spólnikami troje ludzi zamordował...

— Żydów, zdaje się, czy co? — mruknął ponury bednarz.

— A toż — potwierdził opowiadający — dwóch żydów i jedną babę, co wtedy u nich nocowała, zamordowali, a całego bogactwa trzydzieści *rublów* u nich znaleźli. Wtenczas jego złapali i przekonali się, że to ten sam Bąk, ktory już przez kilka lat gdzieściś indziej w dalekich stronach dokazywał... Kramy odbijał, pieniądze *chwałszował* i tylko tyle, że jeszcze nie zabijał... Aż tu i zabijać zaczął... aż tu i sąd nad nim zrobili, do katorgi jego osądzili i na wieczne czasy na Sybir osądzili, a on z turmy uciekł. Uciekł, szelma, odzienie inne włożył i na robotnika do jakiejś *chfabryki* poszedł... Poszedł na robotnika do jakiejś *chfabryki* i był tam rok, dwa roki, trzy roki, za fałszywym paszportem był... Aż i tam jego złapali i bili, gadają, że sto pletni, szelma, dostał...

— Aj! — żałośnie jęknęła młodziutka kobieta, dziecię w ramionach kołysząca.

— Aaaa! — ze zdziwienia głową zakołysała baba.

— Wytrzymał! Ot, mój Boże! i wytrzymał — zauważyła gospodyni.

— Ale! — wykrzyknął opowiadający — *czort* duszy jego nie wziął! W *bolnicy* trochę poleżał i w Sybir go pognali. Zagnali go het, aż na sam koniec świata, żeby już drugi raz nie uciekał. A on wziął i taki uciekł...

— Z katorgi uciekł? — fajkę z ust wyjmując, po raz pierwszy się odezwał stary Mikuła.

— Ale, tatku, z katorgi, był tam rok, dwa roki, aż nogi wziął za pas i hajda w świat! Słyszę, po calutkiem cesarstwie pisma rozesłali. Do gubernatorów i do policmajstrów, i do *stanowych* pisma rozesłali, że mówią, taki a taki z katorgi uciekł, że mówią, szukać jego i łapać wszystkim, kto tylko żyje, przykazuje się... Słyszę, po calutkiem cesarstwie szukali, rok, dwa roki szukali, aż ot!... tu znaleźli...

— Aj! — z za kołowrotka wrzasnęła Hanulka.

Gospodyni ramiona rozplotła i po raz pierwszy przestrach roztworzył nieco jej piękne i jeszcze rumiane usta.

— *Hdzie?* — ozwał się znów Mikuła — *hdzie tut* znaleźli? Z durnego gadania durniom pociecha...

— Dalibóg, tatku! — niezadowoleniem ojca żywo dotknięty, szeroko ramieniem i batem rozmachując, wykrzyknął opowiadający. —

Żeby mnie choroba ruszyła, jeżeli łgę! *Tut* znaleźli... o dwie mile od nas siedział... w *chfabryce* znów robotnikiem był, za fałszywym paszportem znów był... Ot i fałszywy paszport poznali, ot już i łapać... mieli, a on nie dureń, wziął i znów uciekł... psia jego krew... jaki mądry! cha, cha, cha!

Sam jeden śmiał się, inni milczeli, a Mikuła brwi ściągając, zapytał:

— A nie *breszesz*, Aleksy? A nie wymyślił, żeby baby straszyć?... A próbował kiedy *baćka* zwodzić? A?

Teraz młody chłop, strwożone nieco spojrzenie zrazu na ojca rzuciwszy, z obrazą w głosie odpowiedział:

— Jeżeli ja łgę, to i pisarz łże. Od pisarza ja najwięcej i nasłuchał się o tej *hawanturze*, bo do kancelaryi pismo przyszło, że on tu tylko co był i znów przepadł... to *musi* jeszcze daleko nie zaszedł, to żeby jego szukać i łapać... takie pismo przyszło...

Szukajcie, mówi, jeżeli Boga kochacie, szukajcie, a to, mówi, całemu światu wielka bieda będzie... Rozboje będą, mówi, złodziejstwa, grabieże będą... to i to będzie... A jak jego kto złapie, to zaraz do turmy odstawim, mówi... Już teraz, mówi, nie sto pletni, jak wprzódy, ale dwieście jemu wsadzą za to, że drugi raz uciekał... w kajdany mocne, żelazne okują i na calutkie już życie do katorgi zaprzęgną... ot jak! (C. d. n.)

W ŚWIAT.

(na ludową nutę).

Zielona łączka, różany kwiat,
Wędruj dziewczyno wraz ze mną w świat,
Wędrujmy razem w daleki kraj,
Już idzie wiosna, już pachnie maj.

Minęły czasy jesiennych burz,
Splotę ci wianek z kwitnących róż,
Zaśpiewam piosnkę dziecinnych lat,
Wędruj dziewczyno wraz ze mną w świat.

Na co mi piosnek... na co mi róż?...
Zaś nie wiesz Janku, żem wdową już?...
U drzwi kościelnych murawką odzian,
Śpi, mój najmilszy, ślubiony młodzian...

Ad. B.

Zmyślność mrówek.

Do najciekawszych dla człowieka stworzeń należy niewątpliwie mrówka.

W obyczajach tego stworzenia znajdujemy dużo ciekawych rzeczy, które i człowiekowi naukę podać mogą. Szczególnie zasługują na uwagę ich talent budowniczy i ich pracowitość.

Jest wiele gatunków mrówek, to też i budowle ich są odmienne; najznakomitszym pałacem, prawdziwie artystycznie zbudowanym, jest ów skromny z powierzchowności kopiec, nierzadko po borach napotykany! Stoczystą jego powierzchnię, dla ułatwienia spadku wód deszczowych, pokrywają stosownie ułożone drobne gałązki i suche listki Pomiędzy niemi po bokach dają się spostrzegać tu i ówdzie rozmaite otwory; są to bramy, które przy pogodnem i ciepłem powietrzu stoją otworem, na zimno zaś i w czas wilgotny są starannie zamykane.

Gmach cały składa się z wielu, niekiedy nawet z dwudziestu piąter, które łączą się z sobą zapomocą wygodnych korytarzów, długich mostów, sklepień i wielu ulic. Ulice te, przyozdobione jakoby słupami, tworzą galerye i schodzą się do środka, który jest obszernem wydrążeniem, jakby placem publicznym, w nim bowiem, niby promienie koła, zbiegają się wszystkie ulice, co ułatwia mieszkańcom ruch i stosunki pomiędzy sobą.

Wzdłuż ulic mieszczą się malutkie izdebki dla mrówek robotnic, i celki, gdzie przebywają wylęgłe gąsienice.

Pod względem pracowitości, mrówki mają wiele podobieństwa do pszczół, różnią się tylko tem, że nie zbierają miodu i wosku, my też nie pielęgnujemy ich jak pszczoły; przynoszą jednak pewne korzyści, niszczą na liściach mszyce, a poczwarki ich służą za pożywienie ptakom śpiewającym. My zaś mamy z nich kwas mrówczany, używany w lecznictwie.

Mrówki bywają nieraz bardzo natrętne, wciskają się do naszych mieszkań i zakradają się do jadła, szczególniej zaś do wszelkiej słodyczy.

Zupełną jest bajką, jakoby mrówki zbierały na zimę zapasy zboża. Mrówki nie spo-

żywają ziarna, a na zimę zasypiają, jak wszystkie inne owady.

Między niemi są mrówki: samce, samki i robotnice. Ciało ich składa się z głowy, piersi, okolonych trzema pierścieniami i dolnej części, wyraźnie oddzielonej od górnej; mają po sześć nóg, a w pyszczku dwie rogowe górne szczęki zakrzywione, których ostre brzegi działają jak zęby. Stanowią one jednocześnie oręż i narzędzie, a wybornie służą do budowy mieszkania, chwytania owadów, oraz walki i obrony od napaści.

Delikatniej zbudowane są szczęki samców i samek, aniżeli wyrobnic; nadto samki i samce przewyższają wyrobnice wielkością. Samce i samki posiadają skrzydła, przy pomocy których od czasu do czasu w górę wzlatują.

Najliczniejsze są robotnice, od nich zależy utrzymanie w porządku całego mrowiska. Bez znużenia pracują one przez całe lato, szczególniej zaś zajmują się wychowaniem młodego pokolenia. Gotowe są one na wszelkie trudy i mozoły, jak gdyby rozumiały, że od dobrego wychowania dzieci, zależy pomyślność całego społeczeństwa.

Samki, od wiosny aż do czerwca, składają drobniutkie, zaledwie wzrokiem dostrzegalne jajeczka. Z jajeczka tworzy się biały, beznożny robaczek. Zmarniałby, gdyby robotnice nim się nie zajęły. Gdy się wylęgnie, podają mu skwapliwie pożywienie. Po dwóch tygodniach robaczek przędzie sobie białą osłonkę i zamienia się w poczwarkę; wtedy powstaje to, co zowiemy pospolicie jajkami mrówczemi. I teraz robotnice nie pozostawiają poczwarek bez opieki, a chociaż ich nie karmią, bo pokarmu nie potrzebują, to podczas pięknej pogody wynoszą je w swych szczękach na słońce, a w razie deszczu przenoszą w głąb mrowiska.

Tymczasem poczwarka pomału, stopniowo, zamienia się w mrówkę. Lecz sama mrówka nie wyszłaby z otaczającej ją osłonki, jest zbyt mała i bezsilna, to też robotnice śpieszą jej z pomocą. Kilka mrówek siada jednocześnie na jedwabnej osłonce poczwarki, przegryzają jedną niteczkę po drugiej w tem miejscu, gdzie jest główka i odsłaniają ją; a jeśli po tem ułatwieniu mrówka nie wyjdzie z osłonki, robią jeszcze cięcie wzdłuż całej poczwarki. Nie na tem wszakże kończy się ich troskliwość; po uwolnieniu mrówki z tej grubej osłonki, należy zdjąć z niej jeszcze drugą, cieńszą. Ostrożnie więc ogołacają z niej każdą część ciała.

Nie opuszczają jednak jeszcze młodej mrówki, wchodzą za nią na krzewy i liście i dopomagają w wyszukiwaniu pożywienia.

Biada owadom, które staną na drodze mrówkom i przeszkodzą ich czynności. Gromadnie rzucają się na nie i zagryzają na śmierć.

W razie niebezpieczeństwa, nigdy nie myślą o sobie, lecz o młodych, które w bezpiecznem kryją miejscu. Nierzadko się zdarza, że mrówka robotnica, przepołowiona w walce przez nieprzyjaciela, biegnie jeszcze przez czas niejaki z poczwarką w pyszczku, chociaż brak jej odwłoka.

DZIAŁ GOSPODARCZY.

Bulwy. Obok budynków, płotów, nawet w ogrodach na wsi, widuje się często kawałki ziemi nie zużytkowane, na których tylko chwasty wyrastają w obfitości, dojrzewają i rozsiewają się później po polach i ogrodach.

Taka hodowla chwastów nie jest chyba pożądaną, tak w interesie rolnictwa i ogrodnictwa jak i w interesie każdego gospodarza — tem bardziej, że wszystkie owe nieużytki można obsadzić rośliną bardzo użyteczną, a mało zachodu wymagającą.

Rośliną tą jest Bulwa — *(Helianthus tuberosus — Topinambur).*

Najlepiej rośnie bulwa na ziemiach lekkich a ciepłych — lubi wystawę słoneczną ale udaje się na każdym prawie gruncie, byle nie była zupełnie pozbawioną światła słonecznego.

Uprawa pod bulwy bardzo łatwa: Przeznaczony kawałek ziemi oczyścić z chwastów, starannie przekopać i sadzić bulwy jak ziemniaki, tylko znacznie rzadziej, gdyż bulwa szerzej się rozkrzewia. Krajać bulw do sadzenia nie można.

Sadzić najlepiej na jesieni, gdyż wtedy jest więcej czasu, a bulwy w zimie nie marzną i potem wcześniej na wiosnę wschodzą, ale można sadzić i na wiosnę, i to o ile się da najwcześniej, zaraz po rozmarznięciu ziemi.

W ciągu lata okopać parę razy jak ziemniaki i oczyścić z chwastów. Innych starań nie potrzebują. Raz zasadzone, jeżeli mają dogodne warunki, pozostają na zawsze — nawet chcąc potem je wytępić, nie łatwo sobie

z niemi poradzić. Na zimę można je pozostawić w ziemi, a na wiosnę wykopać nim zaczną wypuszczać oczka. Po wykopaniu, zarównać tylko ziemię, a bulwy same się tam znajdą i wyrosną, choćby nam się zdawało, że przy kopaniu nie zostało nic.

Pod bulwy można przeznaczyć i jakiś większy kawałek ziemi, jeżeli go nie mamy czem obsadzić, lub jeżeli nie ma czasu na pielęgnowanie innych warzyw, wymagających więcej zachodu — wtedy sadzi się kłąb od kłęba po 60 centymetrów w kwadrat.

Chcąc mieć większy plon z bulw, dobrze jest co 2 lata ziemią posypać kainitem lub syną i lekko przekopać.

Bulwy stanowię paszę bardzo pożywną, krowy po bulwach więcej mleka dają.

Można je zużytkować, albo na zielono. albo tomajako kłęby podziemne.

Na zieloną paszę ścina się łodygi 2 do 3 razy w ciągu lata i daje się bydłu lub trzodzie chlewnej, można je także suszyć jak siano lub kisić. Naturalnie ścinając łodygi, tracimy na kłębach. Jeżeli łodygi nie były ścinane, kłębów tych bywa pod każdym krzakiem wielka obfitość i te dla swej soczystości i słodyczy bywają przez bydło i trzodę chciwie zjadane, a przytem mamy je świeże na wiosnę, kiedy inne okopowizny przeleżawszy zimę w piwnicach lub dołach, już część swego właściwego, pierwotnego smaku utraciły.

Bulwy są i dla ludzi smaczną jarzyną, zbliżoną bardzo smakiem do szparagów. Gotuje się i podaje zupełnie jak szparagi. Można też urządzać z nich sałatę — po ugotowaniu i ostudzeniu, kraje się drobno i zaprawia solą, octem, cukrem, oliwą, jak kto lubi.

Gdyby po pewnym przeciągu czasu, w miejscu bulw wypadło nam zasadzić co innego, tępić je można tylko silnem cieniowaniem, a więc na małych plantacyach przykrywać matami, lub zarzucać chwastami wypielonemi z ogrodu — na dużych zasiewać jakąś gęsto rozkrzewiającą się roślinę np. seradelę, wykę lub t. p. i kosić na zielono.

W ciągu jednego roku wytępić się nie dadzą. *W. K.*

Przypomnienia gospodarskie. W tym roku wiosna jest tak spóźniona, że kiedy nareszcie słońce dogrzeje i ziemia rozmarznie, będziemy mieć nawał robót, bo to i za kwiecień i za maj razem. Nie od rzeczy więc będzie przypomnieć co w kwietniu zrobione być powinno, gdyż dotąd nic robić nie było można.

Na miesiąc kwiecień.

Zaraz po rozmarznięciu ziemi, drzewa owocowe okopać. Tępić gąsienice, ciąć i szczepić drzewka. W sadzie i nad drogami podosadzać brakujące drzewka — i wogóle przesadzać drzewa i krzewy najlepiej w kwietniu.

Sadzić ziemniaki, bulwy, cebulę dymkę.

Siać marchew, mak, szczaw, rzepę, koper, cebulę, czarnuszkę, groch cukrowy i karlik, rzodkiewkę, sałatę, szpinak.

Na rosadę zasiewać: kapusty wszelkie, brukiew, kalarepę.

Wysadzić do gruntu na nasienie: marchew, pietruszkę, kalarepę, cebulę, kapusty, rzodkiew, rzodkiewkę, brukiew.

Uważać, żeby wysadki nie rosły za blizko, dla uniknięcia pokrzyżowania nasion.

Pod koniec miesiąca zasiewać: słonecznik, kukurydzę, buraki, rzodkiew.

Rzodkiewkę, szpinak, groch zielony zasiewa się całą wiosnę co 2 tygodnie.

W miejscach cieplejszych, osłoniętych, można flancować z inspektów: kapusty, kalarepę, cebulę, pory, kalafiory, brukiew. Pod murami i parkanami, można nawet flancować pomidory, przykrywając je jednak na noc doniczkami i matami.

Warzywa w piwnicy, bardzo często przebierać — w razie gdy ich już niema, piwnicę oczyścić, piasek wynieść i wietrzyć piwnicę w dzień i w nocy.

Szparagarnię oczyścić, przekopać i w końcu miesiąca robić przegląd, czy szparagi nie wychodzą.

Nasadzać drób i pielęgnować wylęgający się.

Dom po zimie oczyścić, wewnątrz i zewnątrz pobielić lub pomalować — wszystko z domup owynosić, pomyć, poczyścić, potrzepać.

Na miesiąc maj.

Około 8-go siać ogórki, banie — około 15-go fasole wszystkich odmian.

Resztę rozsad z inspektów poflancować. Tak samo flancować w polach i ogrodach rozsady zasiewne w gruncie.

Pomidory flancować na zagonkach.

Urządzać klomby kwiatowe, flancować kwiaty, siane w inspektach.

Plewić warzywa, wzruszać ziemię, gdzie potrzeba, podlewać, o ile sucho.

Truskawki okopać i obłożyć słomiastym nawozem lub słomą, dla zabezpieczenia jagód od powalania ziemią.

Wysadki poprzywiązywać do palików lub pogradzać płotkami, żeby się nie połamały.

Tępić usilnie chrabąszcze, liszki, gąsienice.

Obcinać dzikie pędy u drzewek szczepionych.

O ile sucho, podlewać drzewka świeżo posadzone; jeżeli nie wypuszczają a kora się na nich zaczyna marszczyć, owinąć od ziemi aż do korony mchem i codziennie mech polewać.

Rośliny doniczkowe w końcu miesiąca wystawić na powietrze, w miejscu osłoniętem od wiatrów i niezbyt słonecznem.

Na nieużytkach kosić lub sierpem wycinać chwasty, żeby nie dopuścić do kwitnienia. Po skończeniu siewów i flancowań nieustanne pielenie. Ścieżki gracować. Naszykować paliki do pomidorów, tyczki do fasoli i t. p. Okopywać ziemniaki. *P. K.*

O hodowaniu kurcząt. Jak należy dbać o czystość w pokarmach i napoju, tak samo powinno się dbać o czystość w kurnikach i gniazdach.

Kurniki zwykle są przepełnione brudem i kałem, gdzie gniazd niema wcale, albo są wysłane brudną, zgniłą słomą. Z tego powodu jaja są zawsze brudne, oblepione odchodami kurzemi, któremi jaja czuć i takie prędko się psują.

Kurniki powinno się często wymiatać, piaskiem posypywać, a do gniazd świeżą słomę dawać.

Robactwo gnieździ się w szparach ścian; w nocy włazi po grzędach na kury, niepokoi je w czasie snu i krew z nich wysysa. Ażeby wytępić robactwo z kurników, trzeba ściany i grzędy pobielić wapnem rozmieszanem z naftą, bo tej robactwo nie znosi. Kury lubią się paprać w ziemi; otóż do takiego dołka, gdzie się kury paprają, dodajcie trochę popiołu ale drzewnego, i trochę wapna sproszkowanego, bo tego robactwo nie lubi, więc z kur wyjdzie.

Gniazda dla kwok stawiajcie w miejscu zacisznem, lecz nie wilgotnem, gdzie grzyb rośnie, ale w takiem, żeby świeże powietrze tam dochodziło.

Do gniazda nasłać czystej słomy i posypać go miałkim pieprzem i roztartym tytoniem, żeby się robactwo nie lęgło.

Gdy się pisklęta wyklują, nie dawajcie im żadnego jedzenia przez dwa dni, bo tak długo mają kiszeczki wypełnione żółtkiem pobranem z jaja, można im tylko postawić czystej wody i nasypać grubego czystego piasku. Po dwóch dniach trzeba ich zacząć karmić, ale nie jajkiem gotowanem, jak się to zwykle robiło dawniej, bo jajo jest za ciężkie do strawienia, ale trzeba mieć w domu kaszę jaglaną, którą się gotuje na mleku słodkiem, a gdy ostygnie, dawać pisklętom. Można do kaszy mieszać po trochu sałatę lub młode pokrzywy drobno siekane. Nie gotować dużo na raz, żeby kasza nie zakisła, bo to szkodzi kurczątkom. Dopiero w drugim tygodniu można do kaszy dodawać trochę jajka gotowanego i drobniutko posiekanego, po troszku ziemniaków roztartych, a dobrze jest do karmu wsypać troszeczkę czystego grubego piasku, to im do strawności dopomaga.

Żywić kurczęta z początku trzeba często, co parę godzin, ale umiarkowanie, żeby się nie przejadały, gdy podrosną, trzeba je żywić rzadziej ale obficiej. Po dwóch tygodniach można im już dawać ziarno szrutowane, to jest przemielone w żarnach na grubo i mieszać można plewy z koniczyny. Tak hodując kurczęta, będą duże i tłuste.

Użycie saletry do zasilania ozimin. Gdy widzimy, że ozimina nędznie z ziemi wychodzi, trzeba ją pokrzepić, dodając jej saletry, wyczekać jednak trzeba, aż one rosnąć poczną. Saletrowanie powinno być wykonane w dniu suchym i w porze dnia suchej, na zupełnie suche rośliny. Przy podsiewie jarych zasiewów, a w szczególności owsów, które najlepiej ten podsiew opłacają, decyduje o ilości i czasie jakość gleby. Im więcej jałowe są grunta, tem więcej saletry podsiać trzeba. Na glebach lekkich, podsiewać trzeba saletrę dopiero wtedy, jak owies ma już kilka listków i podrósł na jakie 10 cm. Gdy w owies wsiana jest koniczyna, trzeba podsiew saletry wykonać wraz z siewem ziarna, aby przy późniejszym podsiewie nie uszkodzić młodziutkich listków koniczyny.

Na glebach glinkowatych, podsiew saletry może być wykonany razem ze siewem, bo gleba ta ma własność wchłaniania i przytrzymywania pokarmów roślinnych.

Ilość saletry do podsiewu nie da się obliczyć dokładnie, gdyż to zależy od jakości gruntu, używać jej można przeciętnie od 40 do 100 kilo na jeden mórg.

Wiosenne bronowanie łąk. Jest ważną i konieczną czynnością każdego rolnika bronowanie łąk, a jednak u nas tak mało bywa używane.

Po zbronowaniu każda łąka widocznie się poprawia i zbiór daje obfitszy, bo bronowanie pobudza trawy do lepszego krzewienia się i rozrastania. Szczególniej potrzebnem jest

bronowanie na łąkach, zarosłych mchem i chwastami, bo taką łąkę bronowanie odświeży i wzmocni. Najlepszy czas do bronowania łąk jest wtedy, gdy już dostatecznie obeschną i trawa na nich ruszać się zacznie; bronowanie powinno być silne, ostre i dokładne. Wcześniejsze bronowanie przynosi szkodę zamiast pożytku i przez to rolników do bronowania łąk zniechęca, tymczasem nic tu nie winno bronowanie, tylko to, że w nieodpowiednim czasie było wykonane.

Skorupa z jaj. W każdem gospodarstwie zwykle skorupy z jaj bywają wyrzucane na śmiecie. Tymczasem te skorupy dobrze osuszone, następnie zmielone albo utłuczone w moździerzu na mąkę, powinno się dawać młodym źrebiętom, cielętom, prosiętom i kurczętom Przez domieszkę do jedzenia skorup z jaj dostarczamy zwierzętom wapna, które młodzieży do budowy kości jest potrzebne.

Seradela i szporek. Obie te rośliny pastewne zasługują na szersze rozpowszechnienie między włościanami, osobliwie na ziemiach piasczystych, gdzie już ani zbóż, ani innych roślin pastewnych uprawiać nie można. Na piaskach wilgotniejszych, a nawet i na suchych rośliny te dają obfity zbiór paszy tak zielonej, jak i suchej, bardzo chętnie przez każde bydlę jedzonej. Dla krów dojnych są te rośliny nieocenione, bo dają paszę od wiosny przez całe lato, umniejszają troski gospodyni i wpływają bardzo na ilość i jakość mleka. Siać je należy obydwie razem, a to z tego powodu, że szporek rośnie prędko, więc w czas z wiosny ma gospodarz zieloną paszę i to na takiem polu, na któremby żadnej innej nie miał, a gdy się szporek skończy, rozpoczyna się koszenie seradeli, która, po odkryciu i zakorzenieniu się, prędko rośnie. Jeszcze i tę zaletę ma seradela, że nieużytki piaszczyste użyźnia, bo ściąga azot z powietrza i osadza go w ziemi na swych korzeniach. W ten sposób po pierwszym zbiorze seradeli, można ją, gdy odrośnie do jesieni, przyorać i posiać żyto, które w następny rok wyda lepszy zbiór, niż na słabym i lichym nawozie. Siew seradeli ze szporkiem trzeba wykonać na orce płaskiej, nie zagonowej i możliwie jak najwcześniej, bo przymrozki im nie szkodzą, a wcześnie się będzie mieć zieloną paszę dla bydła.

Na 1 mórg wystarczy 40 kilo seradeli i 20 kilo szporku, a że nasienie jest nie drogie, więc można siać gęsto. Koszenie rozpoczyna się, gdy rośliny kwitnąć zaczynają.

Siew owsa. Owies należy siać możliwie najwcześniej, aby zachwycić jak najwięcej zimowej wilgoci w roli. Przysłowie dawne mówi: „siej owies w błoto, urodzi ci się złoto“. Czem suchszy grunt, tem wcześniej trzeba siać, nic nie szkodzi, że ziemia jeszcze jest trochę zmarznięta.

Owies wysiewa się zwykle dość gęsto. Niektórzy jednak przechodzą w tem kierunku granicę i bezpożytecznie marnują ziarno. Zbyt gęsty siew daje zbyt wątłe rośliny i lichy zbiór, za rzadki znów zachwaszcza pole i wydaje ziarno średniej jakości. Średni tylko posiew daje rośliny odpowiednio zakrzewione i najdorodniejsze ziarno. Na gęstość siewu wpływa rodzaj gleby. Siewem rzutowym na bardzo dobrym gruncie wystarczy rozsiać 1 korzec zdrowego owsa na mórg, lecz na gruntach słabszych wzrasta do $1^1/_2$ korca, a nawet na gruntach torfowych, różnych glinkach, bielicach, łatwo zasklepiających się i ziemiach bardzo zachwaszczonych, dochodzi do 2 korcy na mórg.

Ostatnia chwila tępienia robactwa w sadzie. Z całego kraju dostajemy wiadomości o niesłychanych ilościach szkodników, jakie w roku bieżącym zagrażają sadom, które zwinięte w suchym liściu i pajęczynie, zwieszają się z drzew w zaniedbanych sadach. Surowa i mroźna zima nic tym zarodkom nie szkodzi.

ZADŁAWIENIE.

Ze zwierząt najprędzej zadławić się może krową, na przykład kartoflem, burakiem, marchwią, bo zwykle łyka je raptownie, nie gryząc wcale.

Objawy zadławienia dobrze są znane: zwierzę ślini się mocno i robi ruchy głową, jakby połykało. Oddycha z trudnością, nie przeżuwa, a z powodu zatkania rury przełykowej uloty nie mogą odchodzić z żołądka i następuje wzdęcie brzucha. To, czem się krowa udławiła, można namacać ręką albo blisko gardła, albo aż koło piersi; jeżeli to coś niewielkiego, to samo może przejść do żołądka, w przeciwnym razie grozi zwierzęciu uduszenie.

Leczenie. Wlać do gardła krowie łyżkę oliwy albo oleju. Jeżeli to, czem się krowa udławiła, namacamy bliżej gardła, w takim razie popychać tę zawadę w stronę pyska; a jeżeli ta przeszkoda dławiąca jest bliżej piersi, to popychać ją ku piersi, naciskając z zewnątrz rurkę połykową. Jeżeli to nie pomaga, trzeba wziąć giętki pręt leszczynowy

albo trzcinowy, 3 łokcie długi, grubości małego palca, jeden koniec pręta owinąć czystą szmatką, którą trzeba bardzo mocno do kija przywiązać, szmatkę posmarować oliwą, wsadzić pręt obwiniętym końcem krowie do przełyku i lekko naciskać to, co tam uwięzło i dławi. Nigdy nie należy używać do tej czynności nieowiniętego kija, bo poranienie gardła może łatwo śmierć sprowadzić. Gdy widzimy, że krowa wzdęta i wcale się jej nie polepsza, trzeba przebić brzuch trokarem. Jest to okrągły, ze stożkowatem, trójkanciastem, ostrem zakończeniem, kilkocalowy pręcik, cieńszy od małego palca, zakończony rączką drewnianą i włożony w rurkę odpowiednią, obramowaną na jednym końcu jakby kołnierzykiem, tak, że po przebiciu skóry i wyjęciu pręcika ze środka, rurka pozostaje, a kołnierzyk ów zatrzymuje ją od wpadnięcia dalej pod skórę. Otwór w rurce służy jako jedyna droga do gwałtownego wydobywania się nagromadzonych w żołądku ulotów. Pozostawia się rurkę, dopóki uloty się wydobywają; nie powinna jednak pozostawać zbyt długo, naprzykład z dnia na dzień, żeby nie wywołać zapalenia Przebijać należy zawsze tak zwaną lewą słabiznę, to jest lewe, licząc od ogona ku głowie, miejsce miękkie i wklęsłe między biodrem a żebrami, które przy wzdęciu jest mocno napięte i przy uderzaniu palcem wydaje dźwięk jak bęben.

ROZMAITOŚCI.

Z Niepołomic. Ruch oświatowy i ekonomiczny wśród tutejszej i okolicznej ludności przybiera coraz to więcej pocieszające rozmiary. Oprócz Kas Raifesena i Kółek rolniczych, które rozwijają się świetnie, mamy tu jeszcze filię krajowego lwowskiego Towarzystwa chowu drobiu, gołębi i królików z siedzibą w Niepołomicach.

Towarzystwo to, istniejące tutaj dopiero od krótkiego czasu, przyczyniło się bardzo do rozszerzenia i zrozumienia racyonalnego chowu drobiu, a szczególniej rasowego. Jak wielce włościaństwo tutejsze interesuje się tą gałęzią gospodarstwa, świadczy Walne Zgromadzenie tego Towarzystwa, odbyte dnia 27-go stycznia 1907 w Niepołomicach, na którem włościanie członkowie w sprawie tej hodowli rozwinęli nadzwyczaj pouczającą rozmowę.

Zarząd filii postarał się u Wydziału Krajowego o zapomogę na urządzenie kursu o chowie drobiu, który z nadzwyczajną znajomością i zastosowaniem się do stosunków włościańskich przeprowadziła p. Klementyna Stasiniewiczowa, kierowniczka szkoły chowu drobiu w Zielonej koło Rawy Ruskiej. Setki włościan i włościanek brały udział w jej wykładach.

Przepowiednia o końcu świata. Przed paru tygodniami ukazał się w jednym z dzienników włoskich list dyrektora obserwatoryum na Wezuwiuszu, zapowiadający niechybny koniec naszej ziemi, z powodu zderzenia się z jednym nowym kometą, który miał być kilkanaście razy większy od naszej ziemi. Wiadomość ta rozeszła się szybko po całym świecie, powodując u niektórych wielką trwogę. Na szczęście był to tylko złośliwy figiel, wyrządzony dyrektorowi, który, dowiedziawszy się, o co go posądzają, odwołał w dziennikach, iż nigdy nic podobnego nie pisał.

Sprzedaż żony. W jednem z niemieckich miast aresztowano polskiego robotnika Śliwińskiego, który w czasie świąt Bożego Narodzenia jechał z żoną na robotę do Berlina. W Poznaniu przyczepił się do niego handlarz dziewczętami, któremu Śliwiński sprzedał swą żonę za 1560 marek, naturalnie bez jej wiedzy. Jadąc dalej, na jednej z mniejszych stacyi wysiadł Śliwiński i więcej się nie pokazał. W miasteczku Lonkwitz pochwalił się Śliwiński swoim postępkiem, wskutek czego został aresztowany, a biedna kobieta stała się bezwiednie własnością handlarza, który ją gdzieś wywiózł.

Samobójstwo rekruta węgierskiego. Z Budapesztu donoszą, iż w koszarach 68 pułku piechoty zastrzelił się rekrut Ludwik Habran. W liście, zostawionym do rodziców, podał jako powód odebrania sobie życia, że nie mógł się nauczyć języka niemieckiego. Żalił się przed feldfeblem, że nie może pokonać trudności, a ten doradził mu, żeby sobie życie odebrał. Rodzice zawiadomili o tem komendanta pułku. Sprawa zajdzie pewnie od sejmu, a feldfebel powinien odnieść zasłużoną karę.

Targ na bydło rozpłodowe w Krakowie. W połowie kwietnia 1907 roku odbył się w Krakowie w ujeżdżalni przy ulicy Rajskiej, piąty targ na bydło rozpłodowe, urządzony staraniem Komitetu c. k. krakowskiego Towarzystwa rolniczego. Na targu przedstawione były wyborowe sztuki hodowlane, mianowicie przedewszystkiem buhaje, następnie krowy i jałówki rasy fryzyjskiej, oldenburskiej, simental oraz Bern-simental, wreszcie rasy czerwonej polskiej.

Gospodarze, którzy mając już zdrobniałe bydło u siebie, powinni tę wyrodzoną rasę sprzedać, a do hodowli kupić inne, rasowe, a chociaż chwilowo więcej to będzie kosztować, później w dwójnasób się opłaci.

Krajowa wystawa rolnicza żywego i martwego inwentarza, jakoteż wyrobów mleczarskich odbędzie się w dniach 21, 22, 23 i 24 czerwca 1907 roku w Przerowie na Morawach. Wystawa ta będzie urządzona staraniem krajowych korporacyi rolniczych w celu okazania stanu obecnego zarodowych obór w Morawii, jakoteż rozwoju mleczarstwa.

Walka ze zbójami. Na dwór w Krasnem w powiecie włodawskim w Króleswie Polskiem, napadło późnym wieczorem dziewięciu zbójów. Wpadli nagle do kuchni, gdzie była służąca i gospodyni. Służęca struchlała ze strachu, a gospodyni zdążyła zbiedz do pokoju, gdzie spał gospodarz i brat jego. Zbudzeni krzykiem gospodyni, zerwali się obaj na równe nogi i chwycili broń, którą mieli przygotowaną na każdą noc. W tejże chwili na progu pokoju staje jeden ze zbójów i strzela dwukrotnie z rewolweru, ale nim zdążył trzeci raz wystrzelić, zwalił się na ziemię, trafiony z dubeltówki gospodarza. Tymczasem brat gospodarza zgasił lampę, a tu we drzwi pcha się już reszta zbójców, strzelając z rewolwerów. Obaj napadnięci ukryci w ciemnościach walą też z rewolwerów i ranili jednego w ramię. Wtedy napastnicy cofnęli się do kuchni, zabrali obu ranionych, siedli na sanie i pojechali w las. Nazajutrz strażnicy ziemscy zabrali do więzienia sześciu ludzi z poblizkich wsi, jeden z nich jest raniony w ramię, a dwóch rozpoznała gospodyni. Wszyscy uwięzieni są to znani w całej okolicy złodzieje.

Kuchnia wiejska. Jarzyny, a nie mięso, najzdrowszym są pokarmem. Mięso może być pożywne jedynie jako dodatek, jako okrasa. Dawniej nie tylko biedak ale i bogacze przekładali potrawy jarzynowe nad mięso. A na dworach panów i królów polskich co jadano? Kto czytał powieści o dawnych czasach, ten się przekonał, że wesela i zabawy niewiele różniły się od naszych dzisiejszych zabaw wiejskich. Słyszałeś tam śpiewy wesołe, jak na naszych weselach, widziałeś piękne obrzędy weselne, a stół też nie różnił się od naszych stołów. Bez kaszy, barszczu, kapusty, owoców, żadna uroczystość obejść się nie mogła.

A co to byli za ludzie silni. Chłop w chłopa jak dąb, z maczugą na niedźwiedzia się porwał; gdy na wojnę wyruszył, cały w żelazo się ubierał, a miecz taki do boku przypasywał, że dziś niewieluby nosić go mogło. A każdy był zdrów, jak ryba. Wyspał się na słomie albo i na gołej ławie, pięść pod głowę podłożywszy i nic mu to nie szkodziło. Dzisiaj inaczej. My wobec naszych przodków karłami jesteśmy. Wszystko dla nas niezdrowe, wszystko nam szkodzi. Nasi mieszczuchy i panowie cierpią na choroby żołądkowe, jeżdżą do zagranicznych kąpiel na kuracyę. A skądże te ich choroby?

Wszyscy głośni lekarze zgadzają się na to, że jedną z głównych przyczyn jest mięso. Doświadczenie nas poucza, że to prawda. Dziecko chłopskie mlekiem, chlebem, kaszą, dobrze odżywiane, postawmy obok dziecka pańskiego, któremu rodzice dają mięso, ciastka i łakocie. Dziecko chłopskie piękne, zdrowe, rumiane, zniesie ono głód i chłód, prześpi się pod miedzą na słońcu, leżeć na wilgoci mu nie zaszkodzi. Ono silne i zahartowane jak stal. A dziecko pańskie blade, grymaśne, ze wszystkiego niezadowolone. Wszystko mu szkodzi i wilgoć na dworze i gorąco i lekki powiew wiatru.

Jeden z głośnych lekarzy i wielki uczony Wiliam Terber, tak pisze. Za najsilniejszych ludzi na świecie uchodzą robotnicy okrętowi w Turcyi, tak zwani „hamolowie“, przenoszą oni z łatwością od 600 do 800 angielskich funtów ciężaru. Posiłkiem ich jest chleb, kukurydza, figi, daktyle i inne owoce.

Moralność, uczciwość, szczerość i braterstwo były pospolite w czasach dawniejszych, kiedy mięso było pokarmem nie codziennym ale zbytkownym. Wzniosłe, szlachetne ideały dzisiaj są zdruzgotane. Ludy żyjące roślinami są ze wszystkich najpiękniejsze, najsilniejsze oraz najmniej skłonne do chorób i namiętności, nadto dosięgają późnego wieku.

Nawet zwierzęta żywiące się samemi jarzynami są o wiele łagodniejsze, jak zwierzęta mięsożerne, którym już z oczu tryska

dzikość i drapieżność. Nawet niedźwiednicy, którzy chodzą z niedźwiedziami po całym kraju, pokazując różne sztuki, nigdy swoim niedźwiedziom mięsa nie dają, bo stałyby się dla nich niebezpiecznymi.

We własnych sidłach. W miasteczku Kaposwarze na Węgrzech, zakradł się w tych dniach złodziej do mieszkania jednego z gospodarzy, który właśnie sprzedał woły i wziął za nie sporo pieniędzy. Złodziej upatrzył chwilę, kiedy nie było nikogo w domu prócz małej dziewczynki, wszedł do stancyi i ze skrzyni zabrał pieniądze. Już miał wyjść, kiedy przyszło mu na myśl, że 6-letnia dziewczynka wydać go może, gdyż to był jakiś znajomy. Zbój postanowił zgładzić dziecko ze świata. Uwiązał kawałek sznura do belki, zrobił pętlicę, przystawił stołek i mówi do dziewczynki, że będą się bawić, tylko niech włoży głowę w pętlicę. Ale dziecko prosi zbója, aby jej pokazał, jak się to robi, bo ona nie wie jak. Złodziej stanął na stołku i wsadził głowę w pętlicę sznura. Nagle stołek się złamał i zbój zawisł na sznurze. Dziecko przestraszone uciekło. Gdy gospodarze powrócili do domu, złodziej już nie żył udusił się. Gospodarz zabrał z kieszeni wisielca skradzione swoje pieniądze. Dobrze mówi przysłowiee, że „kto pod kim dołki kopie, ten sam w nie wpada“.

Walka ze strajkiem szkolnym. Władze pruskie w usiłowaniach swoich, mających na celu złamanie strajku dzieci polskich, okazują zdumiewającą pomysłowość. W powiecie żnińskim na następujący wzięto się sposób, aby skruszyć opór rodziców dzieci. Wszystkim gospodarzom wsi Gałęzowa, gdzie wskutek strajku padł wielki strach na nauczyciela, przysłano rozkaz, ażeby kolejno po dwóch co noc pełnili straż przy szkole. Gospodarze nie zastosowali się do tego rozkazu, straży nie pełnili i obecnie skazani zostali każdy do zapłacenia 30 marek grzywny. Na założony rekurs przeciw tej karze do landrata, otrzymali odpowiedź, że obowiązek stróżowania przy szkole ustanie natychmiast, gdy skończy się strajk szkolny. Ponieważ owe mandaty karne nie były uzasadnione żadnym paragrafem, przeto gospodarze z Gałęzowa odwołali się telegraficznie do ministra spraw wewnętrznych, lecz do tej pory nie otrzymali odpowiedzi.

OD REDAKCYI.

Donosimy Szanownym Czytelnikom, iż zapowiedziany Zjazd na 8 maja b. r. został odłożony z powodu, że dla większej części prenumeratorek gazetki pora ta jest niewygodna.

Po dokładnem porozumieniu się ze wszystkimi, stanowczy dzień Zjazdu i program tegoż ogłosimy w najbliższym Nrze „Przodownicy“, który wcześniej będzie wydany. O łaskawe zgłoszenia swego przybycia i to jak najrychlejsze bardzo prosimy, jak również o zachęcanie znajomych, krewnych do jak najliczniejszego przyjazdu

Na listy i odezwy przesłane nam już po złożeniu numeru, odpowiemy w następnym.

Nr. 1 i 2 „Przodownicy“ są zupełnie wyczerpane; jeżeli znajdzie się fundusz potrzebny, to każemy ponownie wydrukować Nr. 1 i 2 i roześlemy.

Nieotrzymaną gazetkę prosimy reklamować, gdyż często giną w drodze i na pocztach. Reklamacyi nie opłaca się.

Na pamiątkę rocznicy 3-go maja, ofiarowuje redakcya dzieciom polskim piękny dodatek p. t. **„Moja książeczka“**.



Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: Marya Siedlecka w Krakowie. — Druk A. Rippera w Krakowie.

Dodatek do Nru 5 „Przodownicy“ z roku 1907.

Król Łokietek i chłopi.

W Ojcowie jest zagłębienie w skale, zwane grotą królewską. W niej przebywał król Władysław Łokietek, ukrywając się przed Czechami, którzy Krakowem zawładnąć chcieli.

Król Łokietek, wielki duchem, choć wzrostem mały, był jednym z najdzielniejszych naszych królów, bo kraj, rozdzielony pomiędzy książąt z rodu Piastów, połączył w jedną całość i zmógł wielkiego wroga polskiego Krzyżaków-Niemców. Zanim jednak osiadł na tronie krakowskim, musiał zwalczyć wielu współzawodników swoich i obcych i kilkakrotnie uchodził z Krakowa.

W roku 1306 musiał uciekać raz jeszcze i wtedy to skryli go pomiędzy sobą chłopi ojcowscy, a potem, uzbroiwszy się w kosy i siekiery, przeprowadzili na Węgry i dopomogli do wzięcia Wiślicy, stąd już król Łokietek zdobył Kraków i mieszczan niemieckich zmusił do pokory.

W kraju panował długo i sławnie.

(Rzecz dzieje się w pieczarze w Ojcowie).

Wchodzi trzech starych, poważnych wieśniaków z pochodniami, za nimi król Łokietek zmęczony, ciężko opiera się na swym słudze-wesołku, ubranym w jaskrawą suknię i błazeńską czapkę z dzwoneczkami. Król jest w ciemnym płaszczu, pod którym ma złocisty pancerz. Jeden z wieśniaków, Kuba mało mówi, jest niezgrabny, śmieszny, ciągle kłania się królowi.

Dobruch (przyświecając pochodnią): Tu, jasny królu, najbezpieczniej będzie. Nie tylko człowiek, ale nawet zwierz nie przedrze się, jeżeli nie zna wejścia.

Król: Bóg wam zapłać, ale tu ciemno, zimno, jak w grobie. Br! br! (zimny dreszcz nim wstrząsa).

Wesołek: Juści tu nie jest tak, jak na pokojach królewskich. Ale przecież i słonko na noc zachodzi, więc i ty, królu Łokciu nie zawsze świeć ludziom w oczy swoją wspaniałością. Odpocznij sobie w ciemności. Da Bóg, wyjdziesz jeszcze na światło.

Król: Teraz... byłem tylko ławy dopadł, umęczony jestem wielce. (Chłopi wysuwają ławę, stół, stołek).

Dobruch: Tu sobie sądźcie, miły Panie. (Zaściela kożuchem ławę, król siada).

Winek (zdejmując z siebie kożuch): A to pod miłościwe stopki podesłać. (Okrywa nogi królewskie. Kuba mu pomaga. Zapalają kaganek, wiszący u sklepienia).

Król: Dobrzy, poczciwi ludzie. (Przymyka oczy).

Dobruch: Biedne królisko ledwie żyw.

Winek (ustawiając na stołku dzban z mlekiem i kładąc chleb): A tu ot mleko i chleb, nie gardźcie, jasny Panie, ubogiem jadłem.

Wesołek: Jakiej ciepłej strawy namby trzeba.

Dobruch: Wnet baby kurę zgotują.

Winek: Co to kura. Jemuby trzeba ciołka, baranka upiec.

Kuba: Albo to król wołoduch, zje ci tyle naraz.

Wesołek: I ciołka i baranka zjemy.

Dobruch (ciszej do wesołka): To niby z Krakowa was wygnali?

Wesołek: Z Krakowa.

Dobruch: Moiściewy. I takiego króla zmogli.

Winek: I cóż on teraz pocznie, nieborak.

Wesołek: Ano zobaczymy. Niechno przyjdzie do siebie.

Dobruch: Sprawiedliwie mówisz, trza mu odpocząć. No, chodźcie kumie i ty, Kubo. Zostańcie się z Bogiem, jasny królu. (Kłaniają się uśpionemu królowi).

Wesołek: A pamiętajcie ludzie, że król tu przepadł między wami, jak kamień w wodę.

Dobruch: Ma się wiedzieć. (Wychodzą).

Wesołek: No i ja sobie teraz siądę. (Rozciąga się na kożuchu u nóg królewskich). Przez trzy dni nic w ustach nie miałem. (Pije mleko, je chleb). Ano, niech przypatrzy się naszym ludziom, rozgada z nimi. Pierwszy to raz z chłopem do czynienia. Albo to panowie dopuszczą kiedy chłopa do króla! A to pan mądry... Ha, zobaczymy, co da Bóg z tego.

Król (budzi się, siada na ławie, ręce opiera na mieczu i mówi słowa ze św. Ewan-

gelii): „Głodnym byłem a oni mię nakarmili, nagi byłem, a oni mię przyodzieli“. Śpisz wesołku?

Wesołek: Nie śpię, na świecie pewnie dzień jasny. (Żałośnie). Na co ci to przyszło, królu Łokciu, nieboże. Jak zwierz w jamie siedzisz i łba wychylić się boisz. Z dawnej buty ostrugany jesteś, jak oto ten kij z kory. Czemże cię zabawię? Może kozła wywinąć? (Wywija kozły). Z góry na dół, z dołu do góry. Tak, jak fortuna twoja.

Król: Nie błaznuj wesołku, nie pora na to. Z tobą nieraz, wierny druhu, zgadać się można po ludzku. Dziś w głowie mojej war myśli kipi. Słuchaj... Ja, król z tronu zepchnięty, jak odyniec raniony psami szczuty, znajduje schronienie u chłopów. I trzeba było całej nędzy mojej, abym zajrzał w głąb narodu. (Mówi z głębokim namysłem). Teraz wiem, że mój naród zawsze żyć będzie, bo gdy skruszą się, zwietrzeją jego warstwy zwierzchnie, odsłonią się te, co przy ziemi leżą i są jako szczere złoto.

Wesołek: Ba, czekaj tatka latka, jak tamte się zetrą, te dopiero prześwitywać zaczną. Lepiej, królu Łokciu, zrazu przemieszać wszystko: panów, szlachtę, chłopów, mieszczan, ot tak.. (Robi ruch, jakby mieszał w kotle).

Król: Trudna to robota, wesołku. Lecz przysięgam, że jeżeli na tron wrócę, lud wiejski mieć będę w wielkiej opiece. Tego Dobrucha hojnie opatrzę, syna jego księdzem zrobię, biskupem może... Cały stan kmiecy podźwignę.

Wesołek: Alboż będziesz miał czas myśleć o chłopach, królu Łokciu. Będziesz z wrogami wojował, w kupę zbierał ziemię naszą, chłopów zaś nędza i robactwo gryźć będzie po dawnemu.

Król: Nigdy nie zapomnę ich teraźniejszej usługi.

Wesołek: I nic dla nich nie zrobisz.

Król (gniewnie): Trzymaj język krócej.

Wesołek: Niech mi język skołowacieje, jeżeli powiem coś innego nad to, co się panu mojemu podoba.

Jagna: (wchodzi z dwojakami). Matula mówili, co w tej pieczarze król siedzi, przyniosłam mu obiad.

Król: Bóg zapłać. Jestem spragniony ciepłej strawy. (Chce wziąć dwojaki).

Jagna: Zasię! to dla króla.

Król: Ja nim jestem.

Jagna: A juści, patrzcie go! Taki maluśki, w szarej sukmanie i chce króla udawać. Król — to w złocistej sukni, w koronie, jak Bóg Ojciec w wielkim ołtarzu, aż łuna od niego bije.

Król (z uśmiechem): Strawa wystygnie. Mówię ci dziewczyno, że jestem królem.

Jagna: Nie baj, tylko mię po próżnicy zabawiasz.

Wesołek (odsłaniając płaszcz królewski i pokazując złoty pancerz): Patrz! to sam król!

Jagna: O rety! Z królem tak gadałam. (Podaje drżącemi rękami dwojaki). Rozgniewałam króla, o Jezu!

Król: Nie bój się, dziecię.

Jagna: A tu matula przysłali serek i chleb świeży. I koszulinę z najcieńszego lnu. Naści królu.

Król (bardzo wzruszony): Poczciwa matula. Jeżeli Bóg mię z tej toni wyprowadzi, daruję twojej matce złote wrzeciono.

Jagna (z niedowierzaniem): Albo to takie jest na świecie, to tylko u Matki Boskiej.

Król: A czyjaś ty?

Jagna: Dobrucha. Stańka Dobrucha. Miała iść Hanka, bo starsza i mądrzejsza, ale ja się wyprosiłam u matuli.

Wesołek: Chciałaś króla zobaczyć.

Jagna: Nie... (Po chwili, zwyciężając swoją nieśmiałość). Chciałam się pomodlić do króla. Dziaduś powiadali, że Pan Bóg w niebie, a król na ziemi wszystko może. (Klęka i składa obie ręce). Królu daj, aby mię tatulo Jaśkowi nie bronili. (Patrzy w króla, jak w święty obraz).

Wesołek: I czegóż to tatulo krzyw Jaśkowi?

Jagna: Chcą bogatego młynarza za zięcia.

Król: Wstań dziewczyno, bądź dobrej myśli. Będę ci swatem u ojca. Otrzyj zapłakane oczy.

Jagna (nagle sobie przypominając): Jeszcze matula kazali powiedzieć, żeby jasny król cicho siedział, bo do wsi zwalili Niemce i naszą chałupę obstawiły i Tatula wołają.... strasznie krzyczą. Matula mię przez stodołę wypchnęli.

Król (do wesołka): Wytropili nas!

Wesołek: Chłopy nie wydadzą.

Król: Pod batem wszystko wyśpiewają, to nie ludzie rycerscy, na bohaterstwo ich nie stać. Wydadzą i niech im Bóg przebaczy, albowiem, nie wiedzą, co czynią. (Ogląda miecz). Na bój śmiertelny trza się gotować.

Wesołek: Królu Łokciu, jeszcze czas nie przyszedł.

Król: Przyjęli nędzarza, nakarmili i ogrzeli jako dobrzy chrześcijanie powinni, ale cierpieć za króla, milczeć, gdy wróg batem pyta, mienie rabuje, chałupę pali... cierpieć dla czegoś niewidzialnego, niepojętego dla idei... na to trzeba mieć inne cnoty i inne rzeczy widzenia.

Wesołek: Nie zdradzą.

Król (dalej snując swoje myśli): Bo cóż dla nich król znaczy? Ten czy ów tam... tak daleko... w Krakowie, jedna im niedola. O błaźnie, żeby brać miłość, trzeba wpierw dużo jej dawać. A cóż oni od królów dostali?

Wesołek (radośnie): Bielmo wam z oczu spada, mądry panie.

Król: Widzę jasno, jak to czasem przed śmiercią bywa.

Wesołek: O już i śmierć. Jeszcze ona, okrutnica, nie zdążyła na was królu Łokciu, kosy wyostrzyć. Chłopi nie wydadzą, jak Bóg miły, nie wydadzą. Chłop nawet zbója nie wyda, jeżeli udał się pod jego opiekę. Nasz chłop... królu... ho! ho!

Król: Daj to Boże.

Wesołek: Jeszcze wroga musicie zwyciężyć.

Król: A gdzież moje wojsko? hufce? przyjacioły? Jakże przedostanę się do zagranicznych książąt... sam... bez rycerstwa... chyba cudem Bożym.

Wesołek: Ludu polskiego, jak mrowia, chłopów jak piasku.

Król: Jak piasku, lecz cóż z tego?

Wesołek: Materyału mnogość wielka, majstra tylko trzeba.

Król: Nie rozumiem, co chcesz powiedzieć wesołku.

Wesołek: Nie główcie się panie nad mojem gadaniem. (Zmieniając mowę). Może kozła wywinąć? po małpiemu się wykrzywić.

Król: Wesołku, czasem rzucasz słowa jak zarzewie płynące. Skąd się one w tobie biorą?

Wesołek: Wy, królu siedzicie na wyżkach, ja przy ziemi leżę i nizko popatruję.

Król: To też, mądry sługo, dałem ci się prowadzić, gdzie chciałeś. Ufam ci.

Wesołek: Ludzi tych znam, jam stąd rodzic.

(Jagna czeka na dwojaki, słychać głosy i kroki wielu ludzi).

Król: Idą, słyszysz... wielu ludzi... wydali nas chłopkowie (dobywa miecza).

Jagna: Oj, co nie, to nie.

(Wpada chłop stary, za nim kilkunastu parobków z kosami, prosto nasadzonemi. Kłaniają się nizko królowi).

Bartosz: Witamy Cię, najjaśniejszy królu i ojcze najmilejszy. Oto przyprowadziłem chłopaków, coby Cię broniły, gdyby wrogi o Tobie się przewiedziały, co nie daj Boże! To są walne chłopy. Śpijże królu, oni czuwać będą, nikogo nie puszczą.

Król: Dobrzy ludzie. Podobno wrogi już tuż za nami.

Bartosz: Niedoczekanie ich. Przyszły jakieś psiawiary Cię szukać, złapali Zycha i nuż go siec, gdzie król, gadaj.

Jagna: Jezu! Jezu!

Bartosz: Jeszcze żyw, cicho dziewucho. (Do króla). Potem złapali Rocha, co bielutki jak gołąb i na śmierć zasiekli. Wtedy i nas wielka złość wzięła... Co kto miał pod ręką; siekierę, cep, kosę, kół z płota, drąg nuże bić. Baby nawet nam pomagały. Jak mrowie wylegliśmy na zbójów. Do lasu uciekli. Nie jeden tam zostanie.

Jasiek (młody parobek): My do ciebie, jasny królu dostępu nie damy, jako murem żywym cię zagrodzimy. Zwiedzieli się odmieńce, to jeszcze przyjdą, ale cię nie damy.

Bartosz: Nie damy! Tyś się u nas schował i nie damy cię. (Bije pięścią o stół).

Król: Dzielni ludzie, dalibóg.

Wesołek: Chłopy jak dęby, przypatrzno im się królu.

(Jeszcze wchodzi kilku chłopów i bab i do nóg króla się garną).

Jagna (chwytając za rękę Jaśka): Jasiek, a Niemce pewno straszne. (Spostrzega krew na swojej ręce). Co to? o lo Boga! krew!... z ręki ci dziurgiem leci... Jasiek! patrzaj!...

Jasiek: Niemczysko drasnęło! Cicho Jaguś.

Jagna: Ale.. będę ci cicho. Dawaj, obwiążę ci. (Odrywa od rękawa koszuli kawał i wiąże rękę parobka). Boli? co?

Jasiek: Jaguś!

Jagna: A co?

Jasiek: Oto król wcale nie straszny.

Jagna: Gdzie zaś, jak miód słodziuśki taki.

Jasiek: Ale twój buziak, Jaguś, jak chrzan gorzki. (Niby się otrząsa).

Jagna: Próbowałeś niby.

Jasiek: Może nie? co? no Jaguś, przychyl się... za Winkowę schowaj się... Baba jak fasa... Jaguś, wtedy nawet smaku nie poczułem... Jaguś... złotny Jaguś... nikt nie widzi.

Jagna: Tyle ludzi.

Jasiek: Na króla patrzą. (Całuje ją). Jak miód... szczery miód... jeszcze Jaguś... możeś mi krzywa.

Jagna: Puszczaj. Z was każdy, jak wilk.

Bartosz: (do nich). Cicho, król gada.

Król: Dnia tego nigdy nie zapomnę, jakoteż i pomocy od najuboższych moich poddanych. Bylem tylko wrócił do Krakowa i trochę kraj uspokoił.

Wesołek (wchodzi na kamień i mówi z wywyższenia): Śliczneście się sprawili, ale cóż z tego, że króla nie wydacie... czy on tu na zawsze będzie siedział, a tam w Krakowie obcy gospodarzyć będą. Jemu trzeba na tron, on nasz, swój. Źle ludziom, gdy obcy nad nimi przewodzą.

Bartosz: Juści, jemu trzeba na tron wracać.

Wesołek: Królowi trzeba do Krakowa. Tam go czeka wielka robota. O! bo to nie leniwy król. Od świtu swego życia pracuje. Piast on ci jest, z chłopka polskiego zrodzony i tam, z Krakowa gospodarzy naszej ziemi. On musi ziemię — macierz przed wrogiem obronić, na kawały porżniętą, razem zebrać, zaorać i dobrem obsiać.

Król: Tak, Piast jestem, krew z krwi waszej, kość z kości, jednej mowy, jednej ziemi, jednej wiary. Czuję to... dziś!

Chłopi: Żyj nam Piaście — królu! (Wyrzucają czapki w górę).

Wesołek: Oto rzekliście wielkie słowo. Słowo, które z milionowej piersi waszej wyrzucacie raz na kilka wieków. Niegdyś okrzyknęliście księciem praojczyca naszego pana, Piasta-rolnika-kołodzieja z Kruszwicy, potem witaliście, nie wiedząc. że jesteście współdziedzicami ziemi, o którą zabiegają panowie i książęta... i znów milczeć będziecie długo... długo... pokorni i cisi. Lecz gdy raz trzeci przemówicie, już wtedy nic was nie zgłuszy, bo będziecie gospodarzami ziemi, mądrymi, możnymi i na wspólnym wiecu głos będziecie mieć donośny i wiele ważny... Ale długo jeszcze czekać na to musicie, aż dobrzy ludzie światła wśród was rozniecą i zbudzą waszą wolę... (Zmęczony milknie).

Chłopi: Dziwnie gada, prorokuje jakby chłopom lepszą dolę.

Bartosz: Baje coś, wesołek królewski.

Chłopi: Po wiek wieków oraczowi źle będzie.

(Król ze starszymi rozmawia).

Jasiek: (do chłopaków głośno). Zbierzmy się wszystkie chłopaki, króla w środek i poprowadźmy go do Krakowa.

Wesołek: Nie od rzeczy gadasz.

Jasiek: Pójdziemy wszyscy, jasny królu i wszystkich okolicznych chłopaków zwołamy. Będzie nas kupa cała!

Król: To mi junak. (Do wesołka). O to cud Boży! (Do Jaśka). Odprowadzicie mię chłopcy na Węgry, tam znajdę pomoc.

Jasiek i parobcy: Hej! na Węgry!

Król: Jutro o świcie ruszymy. A teraz gdzie Dobruchowa dziewucha?

Głosy: Jagna! król woła. (Wypychają ją naprzód).

Król (pokazując na Jaśka): Może to twój Jasiek?

Jagna (długo się wstydząc): A czyjżeby?

Król (wesoło): No tom zgadł! (Do Jaśka). Jak wrócisz z wyprawy, mój rycerzyku, to dostaniesz tę oto dziewuchę za żonę. Czy chcesz ją?

Jasiek: Jakżebym nie chciał, toć mi najmilsza ze wszystkich.

Dobruch (twardo): Młynarzowi dziewuchę obiecałem.

Król: Teraz pokłońcie się staremu ojcu, moja w tem głowa, że się pobierzecie. (Łączy ręce młodych i do ojca odsyła).

Głosy (do Dobrucha): Król tak nakazuje.

Winkowa (do Dobrucha): Kiedy król swata, to i opatrzy młodych.

(Dobruch błogosławi Jagnę i Jaśka, słychać płacz i zawodzenie. Wchodzi córka starego Rocha, niosąc skrwawione szaty.

Córka Rocha: Zasiekli zbóje mojego tatula... oto szmaty z niego... całe jakby we krwi wyprał... czerwone. Tatuleńko wiedzieli, gdzie król siedział, ale słówka nie rzekli.

Król: Ta chłopska koszula krwią zbroczona wydaje mi się świętością jakąś. Za ojczyznę, za króla...

Wesołek (bierze koszulę Rocha): Królu, to krew wkupna, błagalna, abyś ich (pokazuje na lud zebrany) miał za rodzonych synów tej ziemi.

Król (do Jaśka): Weźcie tę krwawą szmatę i nieście przed sobą, jako sztandar. Tak czynią rycerze.

Wesołek: Ja ją będę pokazywał królewiczowi i wychowam go na: „Króla Chłopów“. Tak mi Boże dopomóż!

Wszyscy: Amen!

KONIEC.